

WINTER RENSHAW

DS
NIENAWIDZE
CIE

POSTSCRIPTUM #1

 editio red

Tytuł oryginału: P.S. I Hate You (P.S. #1)

Tłumaczenie: Olgierd Maj

ISBN: 978-83-283-6875-0

P.S. I HATE YOU © 2018 by Winter Renshaw

Polish edition copyright © 2021 by Helion SA
All rights reserved.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione. Wykonywanie kopii metodą kserograficzną, fotograficzną, a także kopiowanie książki na nośniku filmowym, magnetycznym lub innym powoduje naruszenie praw autorskich niniejszej publikacji.

Wszystkie znaki występujące w tekście są zastrzeżonymi znakami firmowymi bądź towarowymi ich właścicieli.

Niniejszy utwór jest fikcją literacką. Wszelkie podobieństwo do prawdziwych postaci — żyjących obecnie lub w przeszłości — oraz do rzeczywistych zdarzeń losowych, miejsc czy przedsięwzięć jest czysto przypadkowe.

Drogi Czytelniku!

Jeżeli chcesz ocenić tę książkę, zajrzyj pod adres

<http://editio.pl/user/opinie/psnie1>

Możesz tam wpisać swoje uwagi, spostrzeżenia, recenzję.

Helion SA

ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice

tel. 32 231 22 19, 32 230 98 63

e-mail: editio@editio.pl

WWW: <http://editio.pl> (księgarnia internetowa, katalog książek)

Printed in Poland.

- Kup książkę
- Poleć książkę
- Oceń książkę

- Księgarnia internetowa
- Lubię to! » Nasza społeczność

1

MARITZA

— WITAM w „Naleśniku i Kawie w Brentwood”. Mam na imię Maritza i będę twoją kelnerką. — Takimi oklepanymi słowami zwracam się do chyba milionowego klienta tego poranka. Kruczowłosy Adonis o miodowych oczach czekał na stoliku przy oknie ponad siedemdziesiąt minut, chociaż w Los Angeles to tyle co nic.

Wydaje się, że nie zwraca na mnie uwagi.

— Jesteś dzisiaj sam? — pytam, rzucając okiem na puste krzesło naprzeciwko niego. Poranny szczyt dobiega końca i na szczęście dla niego mam pod opieką jeszcze tylko jeden stolik.

Nie odpowiada. Może mnie nie usłyszał?

— Kawy? — zadaję kolejne oczywiste pytanie. W końcu nasza restauracja nazywa się „Naleśnik i Kawa”. Wszyscy przychodzą tu na kawę i olbrzymie, wielkości talerza, naleśniki. Zamówienie czegokolwiek innego uważane jest za gruby nietakt.

Ustawia swój kubek dokładnie na środku talerzyka i przesuwa go w moją stronę. Zaczynam nalewać. Ruchem dłoni powstrzymuje mnie, gdy kubek jest zapełniony w trzech czwartych. Chwilę później dodaje do kawy dwa mleczka i pół saszetki cukru. Porusza się sztywno i metodycznie, celowo.

— Proszę pani, to naprawdę nie jest aż tak interesujące — mamrocze pod nosem, stukając lekko łyżeczką w bok kubka, po tym, jak zamieszał kawę.

— Słucham?

— Stoi pani tu, obserwując mnie — zauważa. Stuka łyżeczką jeszcze dwa razy o brzeg kubka, po czym odkłada ją na spodek i kieruje na mnie intensywne spojrzenie bursztynowych oczu. — Czy nie ma jakiegoś innego stolika, gdzie byłaby pani potrzebna?

Jego oczy mają ciepły kolor miodu, jednak jego spojrzenie jest zimne, przenikliwe i nieustępliwe.

— Owszem, masz rację. — Odchrząkuję i wyrywam się z zamyślenia. Jeśli zagapiłam się na niego, to nie zrobiłam tego celowo, ten seksowny dupek nie musiał mi tego wytykać. No pozwijcie mnie za to, że się trochę rozproszyłam. — Za moment wrócę, dobrze?

Z tymi słowami zostawiam go samego z menu, kawą, podłym nastrojem i chmurnym spojrzeniem... i szerokimi ramionami... pełnymi ustami... Och, naprawdę powinnam skupić się na pracy. Zatrzymuję się przy stoliku numer cztery, żeby sprawdzić, czy państwo Carnavale'owie potrzebują dolewki swojej bezkofeinowej.

Dolewam im jej, po czym biorę głęboki oczyszczający oddech i wracam do stolika wysokiego, ciemnowłosego i aroganckiego mężczyzny, przyklejając wcześniej uśmiech do twarzy.

— Jesteśmy gotowi do zamówienia? — pytam, wyciągając długopis zza ucha i notesik z kieszeni zielonego fartuszka.

Składa menu i podaje mi je. Mimo tego, że mam zajęte ręce, udaje mi się wsunąć je pod pachę, nie upuszczając przy tym niczego.

— Dwa naleśniki — mówi. — Jajecznicy, tost z żytniego pieczywa. Masło. *Nie* margaryna.

— Przykro mi. — Wskazuję na tabliczkę nad kasą, która wyraźnie obwieszcza „JEDEN NALEŚNIK NA OSOBE — BEZ WYJĄTKÓW”.

Mruży oczy i jego twarz kamienieje, gdy kończy czytać.

— W takim razie *jeden* naleśnik, jajecznicza i żytński tost z masłem — powtarzam jego zamówienie.

— Co to za gówniana zasada? — Zerka na zegarek, jakby się gdzieś spieszył.

Albo jakby nie miał czasu na jakąś regułę, co do której zgadzam się, że jest gówniana.

— Te naleśniki są *ogromne*. Zapewniam, że jeden w zupełności wystarczy. — Próbuję rozładować nieco sytuację, zanim sprawy przybiorą nieprzyjemny obrót, bo wzywaniem kierownictwa nigdy nie kończy się dobrze. Właściciele restauracji naprawdę sztywno trzymają się polityki jednego naleśnika, a kierowniczką zmiany jest jeszcze gorsza. Z przyjemnością wyjaśniłaby każdemu niezadowolonemu klientowi, że istnieje powód, dla którego nasza restauracja nazywa się „Naleśnik i Kawa” — w liczbie pojedynczej, a nie mnogiej.

Wiem, że wielu klientów wychodziło stąd niezadowolonych i nigdy nie wracało z powodu tej głupiej zasady, a nasze recenzje w internecie też są przez nią kiepskie, ale nie wydaje się, by to szkodziło interesom. W każdy weekend, czasami również w tygodniu, kolejka ustawia się aż za drzwiami. Naleśniki są faktycznie pyszne, a ta bezsensowna reguła to w gruncie rzeczy sprytny chwyt marketingowy, który zwiększa popyt.

— A co, jeśli nadal będę głodny? — pyta. — Czy będę mógł zamówić drugiego?

Krzywię się i potrząsam głową.

— Chyba, kurwa, żartujesz. — Prostuje się na krześle i zaciska szczęki. — Przecież to tylko cholerny naleśnik, na litość boską!

— To nie jest *zwykły* naleśnik — mówię z wyćwiczonym uśmiechem. — To naleśnik z *Brentwood*.

— Czy usiłuje pani ze mną flirtować? — pyta, spoglądając na mnie uważnie w sposób, który jest jak najdalszy od flirtowania. Jego nozdrza rozszerzają się lekko i nie mogą się powstrzymać przed przelotną myślą, że naprawdę wygląda cholernie seksownie, gdy jest zły. Chociaż w gruncie rzeczy nigdy w życiu nie zdecydowałabym się na żadne świntuszenie z kimś tak niesympatycznym i aroganckim.

Jest zajebiście seksowny, ale nie zadaję się z palantami. To proste.

Musiałabym być pijana. Naprawdę pijana. I zdesperowana. Ale nawet wtedy... sama nie wiem. Widać, że coś go gryzie i żadna ilość seksapilu nie pozwoli mi o tym zapomnieć.

— Pójdę przekazać zamówienie, dobrze? — pytam z uśmiechem tak wymuszonym, że aż bołą mnie policzki. Mówi się, że dobry humor jest zaraźliwy, ale najwyraźniej ten facet jest na to odporny.

— O ile to będzie *pełne* zamówienie, proszę pani — mówi i zaciska usta, wypuszczając powietrze. Nie wiem, dlaczego uparcie zwraca się do mnie per „proszę pani”, chociaż jestem wyraźnie młodsza od niego. Do diabła, dopiero od trzech lat mogę legalnie kupować alkohol.

Nie jestem żadną „panią”.

— Kucharz nie przygotowuje dwóch naleśników — mówię przepraszająco, po czym przygryzam dolną wargę. Może jeśli będę zgrywać nieśmiałą i bezradną, to mi trochę odpuści? Czasami to działa.

— W takim razie to dla mojego gościa, czekam na kogoś. — Wskazuje na puste krzesło naprzeciwko. Drugą dłoń ma zwiniętą w pięść i nie uchodzi mojej uwagi, że jego zegarek ma ustawiony dwudziestoczęterogodzinny format czasu. — Ta osoba przyjdzie trochę później.

— Nie obsługujemy gości, dopóki nie pojawią się tu *osobiście* — mówię. To kolejna nieustępliwa polityka firmy. Zbyt wielu gości przez lata usiłowało wykorzystać taką lukę, więc trzeba było ją zlikwidować. Przy czym zastosowane środki bezpieczeństwa stanowiły

swoisty odpowiednik przygotowania do huraganu. W kuchni zainstalowano mianowicie olbrzymi monitor, tak żeby kucharze mogli podejrzeć widok sali przed przygotowaniem naleśnika i upewnić się, że nikt nie łamie zasad.

Mężczyzna przeciąga dłonią po swoich krótkich, ciemnych włosach. W tym momencie uświadamiam sobie, że to fryzura „regulaminowa”...

Wojskowy.

Mogę się założyć, że jest wojskowym.

Musi nim być. Ta fryzura. Ten zegarek. Nieustanne przeklinanie, przetykane użyciem zwrotu „proszę pani”. Przypomina mi mojego kuzyna Elia który spędził dziesięć lat w wojsku Stanów Zjednoczonych, i jeśli pod innymi względami też jest taki jak on, to na pewno nie odpuści tego naleśnika.

Wypuszczam powietrze i delikatnie kładę dłoń na jego ramieniu, chociaż pod żadnym pozorem nie powinnyśmy dotykać gości. Widzę jednak, że ten facet jest spięty i jego muskularne ramiona aż proszą się o delikatny dotyk.

— Po prostu... proszę dać mi chwilę, dobrze? — mówię. — Zobaczę, co da się zrobić.

Ten facet służy naszemu krajowi. Walczy za naszą wolność. Mimo że bezsprzecznie jest wyjątkowym dupkiem, zasługuje przynajmniej na drugiego naleśnika.

Muszę wykazać się kreatywnością.

Idę do kuchni i przekazuję jego zamówienie, po czym podchodzę znowu do stolika państwa Carnavale’ów. Wracając do kuchni, żeby napełnić dzbanek kawą, mijam stół, przy którym siedzi gromadka wrzeszczących dzieci. Jedno z nich właśnie zrzuciło swój gigantyczny naleśnik na podłogę, wywołując konsternację matki.

Schylam się i podnoszę lepki krążek z podłogi. Kładę go z powrotem na talerzu.

— Czy mam poprosić w kuchni o przygotowanie kolejnego? — pytam. Mają szczęście. To właściwie jedyna sytuacja, w której kucharze robią wyjątek, ale będę musiała przedstawić brudny naleśnik jako dowód.

Dzieciak wrzeszczy — ledwo jestem w stanie dosłyszeć, co usi-
łuje powiedzieć matka. Rozglądam się dookoła i widzę piątkę ma-
luchów w wieku poniżej ośmiu lat. Wszystkie ubrane są w ciuchy
od Gucciego, Burberry lub Diora. Matka o ustach nabrzmiałych po
operacjach plastycznych ma na dłoni pierścionek z olbrzymim lśni-
ącym kamieniem, ojciec gapi się w telefon.

Ale nie powinnam nikogo osądzać.

W Los Angeles brakuje dobrych restauracji, które byłyby przy-
jazne dla dzieci. Trudno się spodziewać, żeby miejsca takie jak
„The Ivy” czy „Mr. Chow” witały takie hałaśliwe gromadki otwartymi
ramionami. Nie sądzę, żeby w ogóle mieli krzeselka dla dzieci.

— Nie chcę naleśnika! — wrzeszczy najstarszy z opalonych,
blondwłosych gremlinów matce w twarz. W odpowiedzi jej nieska-
zitelna skóra przyjmuje prawie taki sam odcień purpury, jak jej no-
wiutka torebka Birkin.

— Po prostu... proszę to zabrać — mówi zakłopotana, ociera-
jąc dłonią gładkie po botoksie czoło.

Kiwam głową i zabieram naleśnik z powrotem do kuchni, po
drodze zatrzymując się przy wózkach na naczynia. Biorę z niego ści-
ereczki i chowam pod nimi talerz. Jak tylko mój żołnierz skończy
swojego naleśnika, pobiegnę do kuchni i powiem, że upuścił go na
podłogę.

— Zamówienie gotowe! — słyszę od okienka i podchodzę tam.
Śniadanie dla mojego żołnierza już czeka — być może przypad-
kiem przesunęłam je na początek listy oczekujących zamówień,
gdy nikt nie patrzył, ponieważ nie mam energii, żeby zajmować się
jego protestami, gdyby uznał, że to wszystko trwa za długo.

Chwytam talerz i uśmiechając się, prędko mu go zanoszę.

— Czy mogę podać coś jeszcze?

Jego spojrzenie wędruje w kierunku talerza, a potem ku mnie.

— Wiem, wiem... — ucinam, unosząc dłoń. — Proszę mi zaufać.

Zajmę się tym.

Mrugam, sama sobą zdegustowana. On nie ma pojęcia, jak trudno mi spełnić jego życzenie, zwłaszcza że traktuje mnie w ten sposób. W gruncie rzeczy miałabym ochotę oblać go parującą kawą, ale z szacunku i podziwu dla tego, czym się zajmuje — i *tylko* z tego powodu — nie zrobię niczego takiego.

A poza tym pracuję za napiwki. *Muszę* być miła. Bóg mi świadkiem, że potrzebuję tej pracy. Może i mieszkam w olśniewającym domku gościnnym mojej babki, ale — wierzcie mi — muszę jej płacić czynsz.

W rodzinie Claiborne'ów nie ma nic za darmo.

Spogląda w dół i wbija widelec w puszystą jajecznicę.

Nie mówi „dziękuję” — co nie jest zaskakujące — a ja obiecuję, że zajrzę do niego za chwilę, po czym ruszam w kierunku kuchni. W korytarzyku inna kelnerka, Rachael, też korzysta z chwili wytchnienia.

— Ten stół z wrzeszczącymi dziećmi — zagajam — to twój?

Dmuchinięciem odsuwa blond grzywkę z czoła i przewraca oczami.

— Tak.

— Dobrze, że nie mój — drocę się z nią. Rachael ma trójkę dzieci w domu. Dobrze sobie radzi z malcami i zawsze potrafi powiedzieć coś, co pozwala zapobiec awanturze lub wybuchowi hysterii.

— Mogłabym się z tobą zamienić. Rodzinka za faceta z dołęczkami z czwórki.

— On ma dołęczki? — pytam, wychylając się, żeby zerknąć na wojskowego.

— O, Boże, i to jakie — mówi Rachael. — Naprawdę głębokie. I zabójczy uśmiech. Myślałam, że może jest modelem albo aktorem czy kimś takim, ale powiedział, że jest kapralem w armii.

— Chyba nie mówimy o tym samym facecie. Do mnie ani razu się nie uśmiechnął, a tobie już powiedział, czym się zajmuje?

— Ha. — Rachael unosi cieką rudą brew, jakby też zastanawiała się, czy nie rozmawiamy o różnych osobach. — Wcześniej zapytał, jak się miewam, i się uśmiechnął. Wydał mi się naprawdę miły.

— Mówię o tym, który siedzi tam. Ciemne włosy, złote oczy, mięśnie rozsadzające podkoszulek? — Wskazuję krótko, po czym chowam palec.

Rachael zerka jeszcze raz.

— Tak, to ten. Nie zapomina się takiej twarzy... ani takich bicepsów.

— To dziwne. — Zakładam ramiona na piersi, patrząc w jego kierunku i zastanawiając się, czy ma coś przeciwko dziewczynom takim jak ja. Jestem dość zwyczajna w porównaniu z innymi kelnerkami tutaj. Średni wzrost, średnia waga, brązowe włosy, brązowe oczy.

Może przypominam mu jakąś jego byłą?

Ni stąd, ni zowąd mężczyzna odwraca się i spogląda prosto na mnie, jakby wyczuł, że mu się przyglądam. Sięgam po leżącą przede mną ściereczkę i udaję zajętą wycieraniem z blatu roztopionego lodu.

— Przyłapano na gorącym uczynku! — Rachael trąca mnie łokciem i wraca do stolika rozkrzyczonej rodzinki. W przelocie trzepię ją dłonią w ramię, po czym daję sobie chwilę na odzyskanie panowania nad sobą. Gdy czuję, że rumieniec zszedł mi z twarzy, ruszam do stolika żołnierza i stwierdzam, że zjadł już naleśnika, nie zostawiając nawet okruszynki. Tak naprawdę zjadł całe śniadanie i wypił kawę.

Gdy sięgam po jego talerz, przykrywa moją dłoń swoją, nasze spojrzenia się krzyżują.

— Dlaczego mi się przyglądałaś przed chwilą? — pyta. Sposób, w jaki na mnie spogląda, jest zarazem intrygujący i bezczelny, tak jakby analizował mnie, formułując szybkie i bezlitosne osądy, ale jednocześnie doceniał moją atrakcyjność. To wydaje się nie mieć sensu, ponieważ mam wrażenie, że jego irytacja z mojego powodu wylewa się z niego wszystkimi porami.

— Słucham? — udaję, że nie wiem, o co chodzi.

— Widziałem cię. Odpowiedz na pytanie.

O, Boże. Nie odpuści mi. Chyba powinnam była skorzystać z propozycji Rachael, żeby zamienić się na stoliki. Ten facet od momentu, gdy nalałam mu kawy, przysparza mi wyłącznie kłopotów.

Otwieram usta, szukając właściwych słów. Jakaś część mnie wie, że powinnam powiedzieć pierwszy lepszy nonsens — żeby go ułagodzić i żeby nie złożył na mnie skargi — ale druga część ma dosyć faceta, który pyta inną kelnerkę, jak jej mija dzień, a osoby, która go obsługuje, nie jest w stanie traktować jak człowieka.

— Rozmawiałaś o mnie z drugą kelnerką — stwierdza, nadal przykrywając moją dłoń swoją, przez co nie mogę po prostu uciec od tej rozmowy.

— Chciała się zamienić na stoliki — wyjaśniam, wypuszczając powietrze.

Unosi ciemne brwi i przygląda się mojej twarzy.

— I powiedziała, że masz dołeczki — mówię dalej. — Powiedziała, że wcześniej się do niej uśmiechnąłeś. I zaczęłam się zastanawiać, dlaczego dla niej jesteś miły, a dla mnie nie.

Puszcza moją dłoń. Prostuję się i poprawiam fartuszek, wygładzając przód.

— Podała mi gazetę, gdy czekałem. Nie musiała tego robić — wyjaśnia i zaciska usta w prostą kreskę. — Gdy dasz mi powód do uśmiechu, uśmiechnę się i do ciebie.

Co za tupet!

Zaciśnięcie moich szczęk i gorąco, które napływa mi do uszu, podpowiadają mi, że powinnam odejść w tym momencie, jeśli chcę nadal pracować jako kelnerka na porannej zmianie w „Naleśniku i Kawie”, ale faceci tacy jak on...

Próbuję coś powiedzieć, jednak wszystkie moje myśli są nonsensowne i zaprawione szczyptą gniewu. Kilka sekund później udaje mi się w końcu wycedzić:

— Czy mam przynieść rachunek, *proszę pana*?

— Nie — odpowiada bez zastanowienia. — Jeszcze nie skończyłem śniadania.

Oboje zerkamy na jego puste talerze.

— Jeszcze jajek? — pytam.

— Nie.

Nie mogę uwierzyć, że planuję to dla niego zrobić, ale im szybciej się go stąd pozbędę, tym lepiej. Chcę powiedzieć, że w tym momencie robię to bardziej dla siebie niż dla niego.

— Chwileczkę. — Zabieram puste talerze do kuchni, po czym z wózka w korytarzyku biorę talerz z naleśnikiem upuszczonym wcześniej przez dziecko. Puls szumi mi w uszach, a moje ciało płonie, ale ruszam do okienka, gdzie mówię jednemu z kucharzy, że mój klient ze stolika dwanaście upuścił naleśnika na podłogę.

Kucharz zerka na talerz, potem na monitor, potem znowu na mnie, po czym zabiera z moich dłoni talerz i podaje mi inny, ze świeżym naleśnikiem. Wnętrze kuchni przypomina linię produkcyjną: rząd kucharzy w siatkach na włosach i fartuchach, z łopatkami do obracania naleśników w dłoniach, stoi wokół kilkumetrowej płyty.

— Dzięki, Brad — mówię. Wracam do mojego żołnierza, po drodze zaglądając do stolika państwa Carnavale'ów. Odkrywam, że już wyszli. Rachael mówi mi, że się spieszyli i poprosili ją o przyniesienie rachunku.

Cholera.

— Proszę. — Stawiam naleśnik przed moim żołnierzem.

Unosi głowę i mruży miodowe oczy na chwilę. Mrugam, modląc się, żeby nie zadawał pytań.

— Czy jeszcze coś podać? — pytam, żałując, że nie mogę dodać: „Tylko nie kolejnego naleśnika, ponieważ za nic w świecie nie zarzykuję swojej posady kolejny raz dla kogoś takiego jak ty”.

— Kawy, proszę pani. Poproszę jeszcze kubek kawy. — Sięga po szklaną karafkę i polewa słodkim, lepkiem, importowanym z Vermont syropem cały parujący naleśnik. Staram się nie gapić, gdy maluje syropem najpierw X, a potem kółko.

Odchodzę i biorę świeży dzbanek kawy. Wracam do stolika i napełniam kubek w trzech czwartych. Chwilę później zerka na mnie i widzę, jak jego pełne usta unoszą się w kącikach, odsłaniając parę najpiękniejszych dołczków, jakie kiedykolwiek widziałam... Tak jakby ostatnie dwadzieścia minut były jakimś żartem i zachowywał się jak ostatni dupek tylko po to, żeby mnie nabrać.

Po czym uśmiech znika równie szybko, jak się pojawił.

Nie zdążam nawet docenić, że gdy się uśmiecha i nie jest taki napięty i ponury, wygląda na zupełnie miłego człowieka.

— Cieszę się, że w końcu udało mi się dać ci powód do uśmiechu — droczę się z nim, po czym delikatnie dotykam jego ramienia, które wciąż jest napięte. — Czy jeszcze coś podać?

— Tak, proszę pani. Poproszę rachunek.

Dzięki Bogu.

Nie mogłabym się bardziej z tym spieszyć. W ciągu minuty wstukuję swój kod identyfikacyjny do systemu, drukuję rachunek, wkładam go w specjalną okładkę i wracam do jego stolika. Jego karta kredytowa leży na rogu stolika, tak jakby znudził się czekaniem i zmęczył trzymaniem jej w dłoni.

Jemu równie spieszy się do wyjścia, jak mnie do tego, żeby go stąd wygonić. Zdaje się, że to jedyna kwestia, co do której się zgadzamy.

— Za chwilę wrócę — mówię. Jego karta — granatowa, prosta, z logo „VISA” w dolnym rogu i napisem „NAVY ARMY CREDIT UNION” u góry — wystawiona jest na nazwisko Isaiah Torres.

Gdy wracam, wręczam mu fioletowy żelopis, który zawsze mam w kieszeni, i zbieram puste naczynia.

— Dziękuję za... — Wskazuje na lepki talerz, który trzymam w rękę, gdy podpisuje potwierdzenie z karty. — Za to.

— Jasne — mówię, unikając kontaktu wzrokowego. Im szybciej będę mogła udawać, że już go tu nie ma, tym lepiej. — Miłego dnia.

Dupek.

Unoszę wzrok i widzę Maggie, kierowniczkę sali, która macha do mnie i bezgłośnie daje mi znać, że mam *trzy* nowe stoliki. Świetnie. Dzięki temu typkowi udało mi się rozczarować państwa Carnavale’ów, zaryzykować posadę i sprawić, że ludzie przy kilku innych stolikach muszą czekać, a to wszystko w ciągu zaledwie pół godziny.

Isaiah podpisuje rachunek, zamyka skórzaną okładkę i wysuwa się zza stolika. Gdy wstaje, przewyższa mnie wzrostem i zerka na mnie z góry. Przez chwilę, która wydaje mi się wiecznością, nie mogę oderwać od niego wzroku.

Jestem tak oszołomiona jego jakby wyrzeźbionymi rysami i pełnymi ustami, że mam wrażenie, iż moje serce gubi rytm, i zapominam o całym świecie.

— Przepraszam panią — mówi i dopiero w tym momencie uświadamiam sobie, że stoję mu na drodze.

Robię krok w bok, a gdy mnie wymija, ociera się lekko o mnie. Moje płuca wypełnia zapach mydła i korzennej wody po goleniu. Wsuwam do kieszonki okładkę z rachunkiem i zbieram zamówienia z nowych stolików, po czym pędzę do kuchni po napoje.

Gdy zerkam w kierunku drzwi, widzę, że Isaiah zatrzymuje się w nich na chwilę i z nieznanym mi powodów spogląda na mnie po raz ostatni. Jestem tak zajęta, że dopiero godzinę później mogę sprawdzić, czy zostawił mi napiwek w okładce. Może podświadomie odwlekłam ten moment, obawiając się tego, co zobaczę: że po tym wszystkim, co dla niego zrobiłam, zostawił mi jakiś marny ochłap. Albo jeszcze gorzej — że nie zostawił nic.

Jednak nie mogłam się bardziej mylić.

— Maritza, co się stało? — pyta Rachael, zatrzymując się przede mną ze stosem brudnych talerzy w ramionach.

Potrząsam głową.

— Ten facet... zostawił mi sto dolarów napiwku.

Marszczy nos.

— Co? Naprawdę? Pokaż, może się pomylił...

Pokazuję jej czek, na którym przy pozycji „Napiwek” bardzo wyraźnie jest napisana jedynka i dwa zera. Suma potwierdza, że nie była to pomyłka piszącego.

— Nie rozumiem. Zachowywał się kompletny dupek — mówię cicho. — A teraz zostawił mi pięćset procent napiwku?

— Może w ostatniej chwili ruszyło go sumienie — stwierdza, wysuwając podbródek.

Przewracam oczami.

— Niezależnie od wszystkiego, mam nadzieję, że więcej tu nie przyjdzie. A jeśli jednak tak, to jest twój. Nie ma na świecie takich pieniędzy, dla których chciałabym obsługiwać tego aroganckiego głupka jeszcze raz.

— Z przyjemnością. — Uśmiecha się szeroko. — Mam słabość do hojnych dupków z rozbrajającym uśmiechem.

— Wiem — odparowuję. — Poznałam dwóch twoich byłych.

Rachael pokazuje mi język, po czym rusza dalej, a ja jeszcze raz zerkam na napiwek od Isaiaha. Nie jest pierwszą osobą, która okazała się tak zaskakująco hojna — w tym mieście pieniądze naprawdę rosną na drzewach — tyle tylko, że nie potrafię sobie wytłumaczyć jego zachowania i zapewne nigdy nie będę miała okazji, żeby go o to zapytać.

Wpuszczam powietrze i wracam do pracy.

Za bardzo ostatnio starałam się, żeby moje życie było nieskomplikowane, aby teraz marnować czas na zastanawianie się nad jakimś skomplikowanym mężczyzną, którego już nigdy więcej nie spotkam.

PROGRAM PARTNERSKI

— GRUPY HELION —



1. ZAREJESTRUJ SIĘ
2. PREZENTUJ KSIĄŻKI
3. ZBIERAJ PROWIZJĘ

Zmień swoją stronę WWW w działający bankomat!

Dowiedz się więcej i dołącz już dzisiaj!

<http://program-partnerski.helion.pl>

GRUPA
Helion 

On nigdy nie złamałby zasad.

Złamał jedynie jej serce...

To miał być zupełnie zwyczajny dzień. Śliczna Maritza Claiborne, kelnerka w naleśnikarni, obsługiwała kolejnego gościa. Bez wątplenia był interesującym mężczyzną: przystojnym, muskularnym, o niepokojącym spojrzeniu bursztynowych oczu. Zachowywał się jednak jak arogancki dupek. Maritza w przeszłości miała już dość problemów z powodu podobnych typów, więc nie miała powodu, aby podsunąć darmowego naleśnika właśnie jemu. Sądziła jednak, że nie zauważy, iż ukradkiem przygląda mu się częściej, niż powinna.

Isaiah Torres był żołnierzem. Jeździł w naprawdę niebezpieczne rejony, w których można było stracić życie. Właśnie przebywał na krótkiej przepustce, ale niedługo miał wrócić do Afganistanu. Oczywiście, że zauważył dziewczynę, która przyniosła mu śniadanie, jednak nie zwrócił uwagi na jej imię. Miała śliczną figurę, ciemne, pełne życia oczy i wydała mu się wyjątkowo temperamentną i energiczną istotą. I dlatego absolutnie nie znajdowała się w orbicie jego zainteresowań!

Niekiedy przeznaczenie daje drugą, a nawet trzecią szansę. Tak było w tym przypadku. Dziwnym zbiegiem okoliczności Isaiah i Maritza wymienili się adresami. Mieli do siebie pisać i przez jakiś czas rzeczywiście tak było. Ale potem coś się zmieniło...

Czy związek żywiołowej kelnerki i twardego kaprała miał kiedykolwiek szansę na sukces? Jak wielkie musi być uczucie, aby pokonała ponurą przeszłość, pełną krzywdy i samotności? I co jeszcze można zrobić, by ukoić gniew i rozczarowanie ukochanej osoby? A może należy pogodzić się z porażką, przyznać do winy i spróbować żyć dalej w samotności?

WINTER RENSHAW jest autorką bestsellerowych powieści i niepoprawną marzycielką. Mieszka w środkowej części Stanów Zjednoczonych z mężem, trójką dzieci i dwoma uroczyimi psami. Uwielbia pisać — rzadko można ją spotkać bez ulubionego notatnika i laptopa. Pod pseudonimem MINKA KENT wydaje również thriller psychologiczne.

 editio red



Księgarnia internetowa:
<http://editio.pl>



Zamówienia telefoniczne:
0 801 339900



0 601 339900

Sprawdź najnowsze promocje:

🔗 <http://editio.pl/promocje>

📖 Książki najchętniej czytane:

🔗 <http://editio.pl/bestsellery>

📰 Zamów informacje o nowościach:

🔗 <http://editio.pl/nawosci>

Helion SA
ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice
tel.: 32 230 98 63
e-mail: editio@editio.pl
<http://editio.pl>

ebook dostępny na:

ebookpoint



ISBN 978-83-283-6875-0



Cena 39,90 zł